Cena numeru 10 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 12 styczeń 1947 Nr. 3 (23)

PO ZWYCIĘSTWIE BLOKU STRONNICTW DEMOKRATYCZNYCH PRZEDSTAWICIELE REAKCJI NIE WEJDĄ W SKŁAD NOWEGO RZĄDU

(z prasy)



Rys HENRYK TOMASZEWSKI

„To ostatnia niedziela, dzisiaj się rozstaniemy ...

OBRAZKI PRZEDWYBORCZE

(Według „Pana Tadeusza")

Te persony których tu opiszę bez liku,
Przedstawiają polskiego historię sejmiku.
Narady, wotowania, triumfy i waśnie —
Sam te sceny odgadłem i Państwu objaśnię.

Oto na lewo jest obywatelów grono,
Których na czoło listy pewnie naznaczono.
Stoją kupkami, każda kupka się naradza
Jak ma być utrzymana w mocnych rękach władza.

Stoi z Cyrankiewiczem pan Wiesław Gomułka,
Pro publico bono zawiązana spółka.
W następującej, niemniej też ruchliwej kupce
Dostojny Szwalbe żywo szepce coś Osóbce,
Któren, iż chłop z natury, jak mówią, Morawski,
Ówdzie ukłon zamieni, lub odda oklaski.
Z rąk niespokojnych widać—mówca; coś tłumaczy
I palcami eksplikuje i na dłoni znaczy —
Cieszy się tą nadzieja, że są nawróceni;
Gładzi kieszeń, bo kreski będzie miał w kieszeni.

A zaś tam, w drugiej kupce inna grupka słucha —
Ten ręce za gors zatknął, ów przyłożył ucha.
Mijał Rabanowskiemu, Kwiatkowski Mincowi
O silnej Demokracji coś kładzie do głowy;
Wachowicz Sowińskiego nieco na bok bierze,
Świątkowskiego Bieńkowski obejmuje szczerze
I tak jeden drugiemu wyjaśnia i prawi
Jakby to tę Ojczyznę z kłopotów wybawić.

Lecz za to w trzecim gronie dzieje się inaczej:
Tu mówca musi łowić za pasy słuchaczy.
Patrzcie — wyrywają się i cofają uszy,
Patrzcie, jako ten słuchacz od gniewu się puszy,
Wzniósł ręce, grozi mówcy, usta mu zatyka,
Pewnie słyszał pochwały swego przeciwnika
(Dziwnie się tu rym ciśnie do Mikołajczyka!)

Jeden między kupkami obywatel stoi,
Widać że człek bezstronny, waha się, czy boi —
Za kim dać kreskę? Nie wie i sam z sobą w walce,
Pyta losu, wzniósł ręce, wytknął wielkie palce,

Zmrużył oczy, paznokciem do paznokcia mierzy —
Widać, że kreskę swoją kabale powierzy.
Trafił — i na dnie swojej stanąwszy walizki,
Wydał okrzyk zwycięski: veni, Widy-Wirski!

Ach wy nie pamiętacie tego, Państwo młodzi,
Jak to Narodu dobro i spaja i godzi!

Przepisał Stanisław Sojecki

PALMY PAPIEROSY

„...Nie jest rzeczą zwykłą, lecz przedmiotem wysoce uduchowionym. Pogryziona i opalona przedstawia żywot człowieka, kronikę jego przeróżnych namiętności..."

Jeżeli cytujemy powyższe orzeczenie zapalonego kolekcjonera „13 fajek" — Erenburga, to bynajmniej nie dlatego, żeśmy sobie przypomnieli raptem historię zawiedzionego dyplomaty carskiego Dominantowa, tragiczny los małego Pawełka Roux, skandaliczną przygodę lorda Graytona, egzotyczne awantury holenderskiego milonera van Esterpeda lub dzieje innych „dusz", związanych życiowo z owymi trzynastu fajkami. Nie, wzięło się to, niestety, skąd inąd, a stanowi kombinację fajkową, którą Erenburg zupełnie nie przewidział. Chodzi, oczywiście, o wpadkową pipę niejakiego dr Lipińskiego.

O ile po przeczytaniu opowiadań Erenburga, osnutych na tle 13 fajek, jesteśmy skłonni — zgodnie z zaleceniem wstępnym autora — „oddać się rozmyślaniom: „o tym, jak wzniosła i trudna jest miłość, jak szybko mijają lata..." itp., o tyle fajka pułkownika sanacyjnego pobudza nas do zgoła odmiennych medytacji.

Nie negujemy, że okazała się być rzeczą niezwykłą (zwłaszcza dla tych działaczy politycznych, którzy wciągali z niej dym nadziei), ale doprawdy w żaden sposób niepodobna nazwać jej przedmiotem nie tylko wysoce, ale w ogóle uduchowionym. Staną bowiem w poprzek tej opinii informacje organów bezpieczeństwa, stwierdzające, iż fajka była nabita nie knastrem, ale ulotką o treści antypaństwowej.

Dr Lipiński jest z wykształcenia historykiem. Szkoda, że „Ozonis causa". Gdyby nie ten paskudny szczegół, może byłby przyzwoitszym palaczem i zamiast czerpać wzory ze zwyczajów angielskich naśladował raczej indyjskie, ćmiąc kalumet czyli fajkę pokoju zamiast fajki niepokoju?

Z trzynastu swymi fajkami związał Erenburg losy 31 najrozmaitszych, pierwszoplanowych i drugoplanowych, osób. Z fajką dr Lipińskiego łączyła się i łączy o wiele większa ilość tzw. dusz: przedstawia ona ich żywot i stanowi „kronikę" przeróżnych (niewczesnych i nieszczęsnych) „namiętności". Dlatego dobrze się stało, że nim się nią cała rodzima reakcja zachłysnęła — zgasła.

A w ogóle, obywatele, z tymi pipami, z których się dobywa wstrętny dymek angielski — warto by raz na zawsze skończyć. „Za ostry" — jak doświadczenie uczy — na nasze wojną osłabione płuca. Zawsze się niedobrze robi.

Palmy rodzime papierosiska!

RZĄD USA ZDECYDOWAŁ SIĘ ZWRÓCIĆ POLSCE ZŁOTO ZABLOKOWANE W BANKACH AMERYKAŃ



— Słyszałeś Felek? Nasze złoto w Ameryce zostało odmrożone...
— Wielkie rzeczy — na taki mróz!...

STEFAN STEFAŃSKI

MISJA BARONA KOTŁUBAJA

(Skecz w jednej odsłonie)

Osoby: **Baron Amadeusz Maria Kotłubaj**
Baronowa Amelia Kotłubaj
Feliks Klonowicz
Lokaj Polikarp

(Rzecz dzieje się 19 stycznia 1947 roku w willi komisarza ziemskiego, Klonowicza, położonej na terenie b. majątku baronostwa Kotłubaj. Baron stoi w oknie, baronowa siedzi przy stole, do którego nakrywa lokaj Polikarp).

Baron Kotłubaj (wzdychając): Ach, Amelio, co za krajobraz! Nasz rodowy pałac pokryty śniegiem wygląda jak fantasmagoria!

Polikarp (chrząknąwszy parokrotnie): Ośmielam zwrócić uwagę jaśnie panie, że to już nie nasz rodowy pałac, tylko wiejska szkoła rolnicza.

Baronowa Kotłubaj (podskakując na krześle): Szkoła rolnicza w naszym pałacu? Mon Dieu!

Polikarp (spoglądając na baronową ze współczuciem): A w parku pałacowym jest obecnie ogród zabaw ludowych.

Baronowa Kotłubaj (j. w.): Słyszysz, Amadeuszu Mario? Ogród zabaw ludowych! Quelle misere!

Polikarp: A biblioteka pałacowa została oddana do użytku publicznego.

Baronowa Kotłubaj (załamując ręce): Nasze piękne książki, których nie pozwoliliśmy nikomu dotykać, w brudnych łapach motłochu!

(Baron odchodzi zniechęcony od okna i przysiada się do stołu, bębniąc w blat palcami).

Baronowa Kotłubaj (chwytając męża za ramię): Mój drogi, pocoś ty mnie tu sprowadził?

Baron Kotłubaj: Wyborna jesteś, Amelio. Przecież dziś wybory!

Baronowa Kotłubaj: Wybory? A cóż to nas obchodzi? Czyż nie lepiej było ten okropny dzień spędzić w mieście, odgradzając się od całego tałatajstwa?

Baron Kotłubaj (uroczyście): Obowiązek, moja droga, względem ojczyzny — przede wszystkim. Ten właśnie obowiązek podyktował mi konieczność przyjazdu do Klonowicza. Poczciwy Klonowicz nie opuścił naszych rozparcelowanych pieleszy, lecz przedzieżgnąwszy się w administratora baronostwa Kotłubaj w oficjalistę Ministerstwa Reform Rolnych pracuje nad utrzymaniem moralności u chłopów. On to od początku mawiał: nie ruszać cudzej ziemi, pan baron wróci i wiernych nagrodzi, a złodziei surowo ukarze. Dlatego też wróciliśmy, żeby Klonowiczowi pomóc przy wyborach. Rozejdzie się zaraz wiadomość (Klonowicz powie), że pan baron jest i czuwa, niech więc cała gmina uważa. Rozumiesz: „oko pańskie konia tuczy“...

Polikarp (przysłuchując się im): Pozwolę sobie wtrącić, proszę jaśnie pana, że koń już nie ten, co przed wojną, sam się poniekąd dobrze tuczy, bez oka pana barona.

Baron Kotłubaj (krzywiąc się): Bzdury, Polikarpie, nie znasz moj drogi naszego ludu, który przestrzega w swoim sercu słowa poety: jeden tylko, jeden cud, z szlachtą polską polski lud!

Baronowa Kotłubaj (z emfazą): Ach, jak to ładnie wyraziłeś, Amadeuszu Mario! Nieprawdaż, Polikarpie?

Polikarp (wzruszając ramionami): Bardzo mi przykro, ale ja z przeproszeniem jaśnie pani doświadczony człowiek jestem i w cudy nie wierzę.

Baron Kotłubaj (śmiejąc się i grożąc palcem): Bo ty czerwony trochę jesteś, kochaneczku, ale sam zobaczysz, zaraz pan Klonowicz przyjdzie od urny, to się przekonasz. No, a teraz podawaj!

(Polikarp podaje do stołu. Baronowa i baron pochylają się nad talerzami. Otwierają się drzwi, wchodzi Klonowicz).

Klonowicz (z namaszczeniem): Smacznego, pani baronowo, smacznego, panie baronie!

Baron Kotłubaj (wyciąga doń obie ręce): A, Klonowicz! Siadaj, siadaj i mów! No, jakże tam?

Klonowicz (stojąc z zakłopotaną miną): Hm, jakby to powiedzieć — (z rozpaczą) — wszystko, proszę państwa, skończone!

Baronowa Kotłubaj (z radością): Skończone? Już? To bardzo się cieszymy!

Klonowicz (patrząc na nią zdumiony): Cieszymy? Nie, pani baronowo, nie ma z czego.

Baron i baronowa (odstawiając talerze na bok): Co-o takiego?

Klonowicz (ponuro): Powtarzam, nie ma się z czego cieszyć! Cała gmina głosowała na te tam swoje bloki.

Baron Kotłubaj: Jakto? A wiedzieli, że my tu jesteśmy? Powiedział pan?

Klonowicz (j. w.) Gardło wygadałem, żeby im przypomnieć dobrodziejstwa, doznane od wielmożnych państwa. Mówię naprzykład do starej Cyranki: pamiętacie jak to wam dziedziczka w 1935 roku dała swoją suknię? — a ta mi prosto w oczy: owa, wielka mi rzecz znoszone łachy, teraz bez niczyjej łaski sama sobie nową kieckę kupiłam. Powiadam do Gumulaka: czy wiecie, że pan nasz jest dziś tutaj obecny? — a ten się pyta: pan? jaki pan? dziś każdy chłop w Polsce sobie pan. — Starałem się przekonać Tartanusa, poważnego gospodarza, że jak by pan baron wrócił, to by było lepiej, a ten się w głowę podrapał: lepiej? dla kogo? ano, jusci dla pana barona, nie dla nas...

Polikarp (przyglądając się uważnie Klonowiczowi): Panie komisarzu, a co pan ma takiego pod okiem?

Klonowicz (z niechęcią): Pod okiem? E, to głupstwo, siniak. Kiedy wszyscy zaczęli krzyczeć, że ziemi nie oddadzą, a pana barona — przepraszam bardzo — mają w miejscu — jakby to powiedzieć — bardzo poślednim i że głosy oddadzą na rząd, który dba o chłopskie interesy, ja im powiedziałem, że takich wyborów nie uzna zagranica...

Baron Kotłubaj (zadowolony): Bardzo dobrze, Klonowicz, bardzo dobrze...

Klonowicz (patrząc z pod oka): Wcale nie tak dobrze, panie baronie, bo mi w odpowiedzi zaraz oko podbili i w ogóle tak się do mnie dobierali, że wolałem — przepraszam bardzo — czmychnąć. (ze smutkiem): Zdaje się, że będę musiał wkrótce opuścić tę moją ziemską placówkę na terenie dóbr pana barona...

Baronowa Kotłubaj (ze współczuciem): To okropne! Co za chamstwo! Tak znieważyć naszego wiernego sługę! (podaje Klonowiczowi rękę, na której ten składa przeciągły pocałunek).

Baron Kotłubaj (uroczyście wyciągając rękę do Klonowicza): Motłoch w twojej osobie znieważył nas, a znieważając nas — znieważył wybory i majestat Rzeczypospolitej! No, ale o tem — potem, teraz zabierajmy się do obiadu!

Polikarp (który w czasie rozmowy wygląda przez okno): Jeśli wolno mi udzielić rady, ja na miejscu jaśnie państwa i pana komisarza ziemskiego raczej zabrałbym się do odwrotu.

Baron Kotłubaj, Baronowa Kotłubaj i Klonowicz (chórem: Co takiego, Polikarpie?

Polikarp: Mówię, że najlepiej przerwać obiad i jaknajprędzej się stąd wynosić!

Baron Kotłubaj, baronowa Kotłubaj i Klonowicz: Czyś ty zwariował? Dlaczego?

Polikarp (pokazując palcem przez szybę): Chłopi idą, o tam, z daleka, w stronie willi pana Klonowicza. Pewnie chcą panu baronowi za „misję“ podziękować.

Kurtyna spada

JAN CZARNY

FRASZKI

GWARAŃCJA

W morzu nie utoniesz — koturny korkowe
mając z jednej strony — z drugiej — pustą głowę...

ZUZANNA I STARCY

Starców w tym — mówią — zasługa niemała,
że się Zuzanna codziennie kąpała...

SPOSÓB

Raz po raz żądaj nowych zakąsek i trunków,
by odwlec przykry moment płacenia rachunku...

SPRAWDZIAN

Popróbuj w rok po ślubie, czy jeszcze potrafisz
do żony jak na ślubnej śmiać się fotografii?...

ZŁOTA MYŚL

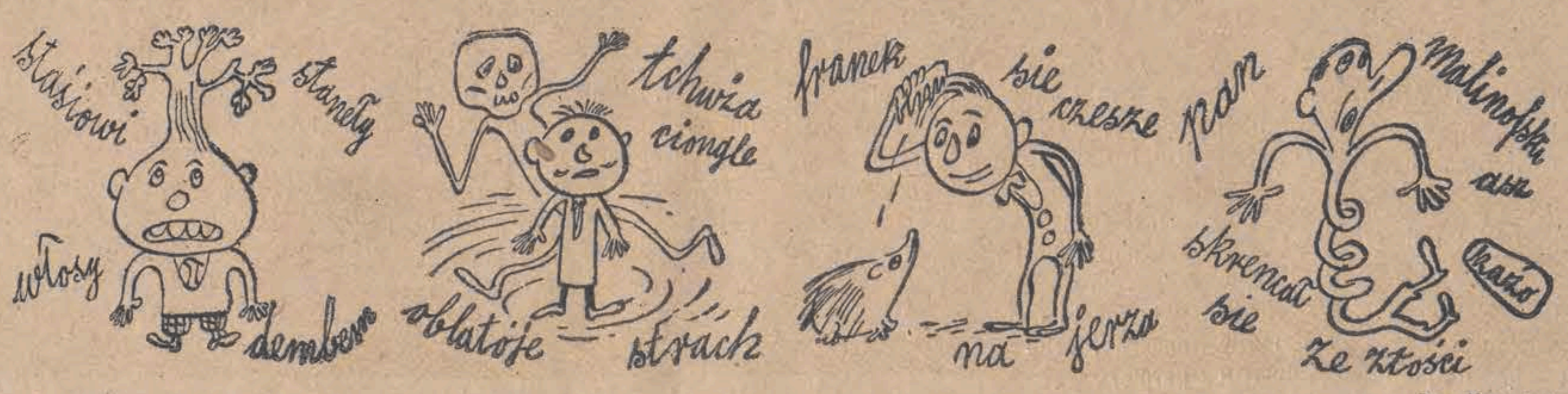
Trudno jest starości dożyć
i nie cudzołożyć...

W ZWIĄZKU Z ZAPROSZENIEM POLSKI NA KONFERENCJĘ LONDYŃSKĄ W SPRAWIE NIEMIEC



Rys. Henryk Tomaszewski

Nic o nas bez nas



Rys. Kazimierz Grus

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

KOCIOŁ

Cnota gościnności przysparza czasem kłopotu. Państwo Pionierscy mieli domek na Ziemiach Odzyskanych. Do pani Pionierskiej napisała dawna koleżanka, panna Wiktorynka, przebywająca w stanie niezamężnym w Warszawie, prosząc ją, aby zechciała kupić i przesłać jej do Warszawy kocioł na bieliznę.

— Co takiego? — zapytał mąż.

— Kocioł. Pisze, że to nawet nie ona go potrzebuje, tylko jej znajoma, która mówi, że w Warszawie kotły są bardzo drogie.

— A tutaj są tanie? Nic o tym nie wiedzieliśmy. A tyś kilka dni temu pożyczała kocioł od sąsiadki.

— Wobec tego trzeba kupić ze trzy kotły dla nas.

— Co innego jednak kupować dla siebie, a co innego dla kogoś. Może być za duży, albo za mały, trudno komuś na odległość dogodzić.

Roztrząsano tę sprawę na wszystkie strony, wreszcie pan Pionierski poradził:

— Wiesz co? Mamy tutaj domek niezgorszy, a oni tam w Warszawie mieszkają po kilka osób w jednym pokoiku. Zbliżają się święta, zaproś ty tę swoją koleżankę do nas, przyjemnie spędzimy czas, przytem ona wyszuka sobie sama kocioł, jaki tylko zapragnie.

Pani Pionierska wysłuchała rady męża i w sam dzień wigilii zjechała panna Wiktorynka. Było to skromne, potulne stworzenie.

Na wstępie cichutko oświadczyła koleżance, że muszą się niezwłocznie udać na zakup kotła, bo zaraz wyjeżdża. Pani Pionierska tłumaczyła się, że święto, że ciasto nieupieczone, że Niemców wysiedlili i została bez służącej, że może by poszła sama...

— Ależ ja nie wiem, gdzie się tutaj obrócić — pożaliła się panna Wiktorynka tak przejmująco, że pani domu rzuciła wszystko i poszła z koleżanką po kocioł.

Tymczasem mąż z rezygnacją zakasał rękawy, przypasał fartuch i wziął się do wykończenia przygotowań świątecznych.

Zaczęło się zmierzchać, gdy obie panie przywlekły się zmęczone z zakupu niestety, bez kotła. Nie znalazły takiego, który by odpowiadał życzeniom panny Wiktorynki. Gościowi stały łzy w oczach. Koleżanka pocieszała ją, że jeszcze się znajdzie, lecz poznać było, że panna Wiktorynka ma humor całkiem popsuty.

Natomiast pan domu miał mąkę we włosach, w uszach i na krawacie i na każdą wzmiankę o kotle twarz jego stawała się marmurowa.

Mimo to przez resztę dnia nie mówiło się o niczym innym, tylko o kotle na bieliznę.

Zaszedł jeszcze drobny incydent, jednak bez większych następstw. Mianowicie panna Wiktorynka widząc trzy nakrycia, zapytała dyskretnie koleżankę.

— To twój mąż będzie siedział razem z nami przy stole?

Pani Pionierska wytrzeszczyła na nią oczy.

— A gdzież ma siedzieć?

— Nie, nie, ja tylko tak... Bo ostatnio do pewnego stopnia odzwyczaiłem się od towarzystwa męskiego... Ale twój mąż mi nie szkodzi.

Ostatecznie zajęto miejsca pod choinką martwiąc się kotłem.

Sprawa kupna kotła przeciągnęła się kilka tygodni. Panna Wiktorynka nie mogła wyjechać przecież, nie załatwiwszy sprawunku. Po całych dniach szukano w sklepach odpowiedniego towaru, obiad jadano dopiero pod wieczór, pan Pionierski zmizerniał.

Nareszcie panna Wiktorynka znalazła kocioł, który jej dogadzał. Przez kilka dni jeszcze debatowano, czy panna Wiktorynka ma go zabrać ze sobą do pociągu, czy wysłać pocztą. Gdy już naradzono się, że najlepiej wziąć go do pociągu, panna Wiktorynka zapytała żałośnie:

— A jeżeli powiedzą, że to „wyszabrowany" i odbiorą mi go w drodze?

Zatem doradzano, że jednak najlepiej wysłać pocztą.

Wtedy panna Wiktorynka zadawała rozpaczliwe pytanie:

— A jeżeli zginie na poczcie?

Dzień mijał bez rozstrzygnięcia kwestii.

Wreszcie jednego ranka pod koniec miesiąca w domu państwa Pionierskich rozległy się od rana uderzenia młotkiem przy konstruowaniu klatki na kocioł. Pan Pionierski uderzył się młotkiem w kostkę u nogi i gwoździem rozdarł rękaw marynarki. Następnie włożono do klatki drogocenny kocioł. Panna Wiktorynka sama zawiozła go do rożką na pocztę, bo pani Pionierska dostała ostrej migreny i od dwóch dni leżała chora w łóżku.

Pana Wiktorynka wróciła jednak z poczty bardzo zmartwiona.

— Obawiam się, że moja znajoma nie będzie zadowolona z tego kotła.

— Nie będzie? — pan Pionierski ciężko oparł głowę na ręce.

— Tak. Nie będzie. Bo przepłaciliśmy go, a po doliczeniu przesyłki i innych wydatków kocioł kosztuje 1.200 złotych, a moja znajoma mogła kupić w Warszawie taki kocioł za 500 złotych i nie chciała, że za drogo.

Naraz pan Pionierski rozpłakał się. Nie wiadomo dlaczego. Jakaś taka reakcja uczuciowa.

— Bardzo mi smutno — powiedziała ze współczuciem panna Wiktorynka — że sprawiłam panu mimowolną przykrość. Ale nie chciałam.

— Nie szkodzi. To tylko takie chwilowe...

— I ta pani będzie teraz miała pretensje... Z pewnością odeśle kocioł. Proszę go odebrać z poczty... i zapłacić... bo ja już, niestety muszę wyjechać.

LUDWIK JERZY KERN

„OBYWATELE!
proszę się streszczać!"

Jeśli się zdarza w kraju zebranie,
W mieście w miasteczku, gdziekolwiek wszędzie,
Zwykle siu mówców przychodzi na nie,
A każdy ględzi, ględzi i ględzi.

Radziłbym przeto napis umieszczać:
„OBYWATELE! PROSZĘ SIĘ STRESZCZAĆ!"

Napis dać taki — drobnostka, fiume.
Trochę wysiłku. Koszt minimalny.
Mówca przeczyta. Mówca zrozumie.
I zaraz skutek będzie realny.

Powie króciutko. Nie będzie wrzeszczał.
A wszyscy krzykną: „Jak ładnie streszczał!"

Zamiast w pięć godzin, w dwie się uchwali.
I czas się wiedy nie będzie dłużył.
I nikt nie będzie chrapał na sali —
(— A dziś niestety, chrapią niektórzy!)

„PROSZĘ SIĘ STRESZCZAĆ! OBYWATELE!"
— Tak, taki napis znaczyłby wiele.

Ten skromny projekt do rąk wam dając,
Wierzę w to święcie, Bracia Rodacy,
Że napis wszędzie ten przyklejając
Sporo zyskacie godzin do pracy.

Dlatego wzywam z pasją: umieszczać —
„OBYWATELE! PROSZĘ SIĘ STRESZCZAĆ!"

A kiedy wreszcie po latach wielu,
Plon siejby widząc, umrę spokojnie,
I Ty, Nieznany Obywatelu,
Będziesz nad grobem mówić coś o mnie,

To kiedy dojdziesz do „Dzieła Wieszcza"
Możesz poględzić. Nie trzeba streszczać...



Rys. Kazimierz Grus

STANISŁAW DYGAT

Pan Korabkowski

Korabkowski odwiedzał żonę sąsiada Borakowskiego i doszło między nimi do niejakiej poufałości. Ta poufałość domagała się jakiegoś stanowczego uzewnętrznienia i dlatego pewnego dnia Korabkowski z żoną sąsiada Borakowskiego po prostu uciekli. I oto w parę dni potem, pięknego jesiennego ranka, leżeli oboje w łóżku w hotelu gdzieś w zapadłej mieścinie on palił papierosa i patrzył tępo w obrazek zawieszony na przeciwległej ścianie, a przedstawiający rybaków w czasie burzy, ona bezmyśl nie glansowała paznokcie o prześcieradło i oboje zastanawiali się, co dalej robić z tym wszystkim, skoro szalejący huragan zmysłów nie jest już nawet łagodnie wiejącym zefirkiem.

— Co za niebywały nonsens życia — myślał Korabkowski — przecież to Borakowski powinien leżeć w łóżku ze swoją żoną a nie ja. I rzekł głośno, trochę niegrzecznie: — Posuń się trochę.

— Byłoby przyjemnie — myślała pani Borakowska — leżeć teraz w swoim łóżku i czekać, aż mi Marysia poda śniadanie. Co dalej z tym wszystkim będzie? I zupełnie niegrzecznie odpowiedziała:—Sam się posuń, jak ci źle.

A w tym samym momencie drzwi się otwarły i jak deus ex machina, jak Mojżesz zstępujący z góry Synaj, jak Byron skaczący do kanału w Wenecji, wpadł do pokoju pan Borakowski, który ścigając niewierną żonę i zdradliwego sąsiada trafił wreszcie na ich ślad. W ręku trzymał pamiątkową ciężko okutą antypkę po swoim ojcu, srogim powstańcu z 63 roku, którą zamierzał wygrzmocić zdradliwą żonę i niewiernego sąsiada i wyrzucić z siebie wszystkie przygotowane uprzednio przekleństwa, gdy Korabkowski rzucił na ziemię papierosa, poprawił się na łóżku i rzekł bardzo grzecznie i spokojnie:

— O, powitać sąsiada. Proszę bardzo, prosimy bardzo. Sąsiad z drogi, wszak prawda? Zapewne zmęczony i na pewno bez śniadania. Proszę siadać, gdzie tu jaki stołek? Nie ma? O, jest tam, w kącie. Zaraz zadzwonię po śniadanie. Pani Borakowska, tam koło pani dzwonek, pani będzie łaskawa nacisnąć. Ależ to zapadła dziura ten, ten... Nie pamiętam nawet, jak się nazywa, ten hotel też nic nie wart, a nazwę wymyślili, ho, ho, „Pod trzema koronami". Niech ich szlag trafi z takimi koronami. Już wolę austriacką. Ale, ale, podobno lecą na łeb na szyję. Co? Jak tam na giełdzie, bo parę dni nie miałem sposobności?... Ale ja panu głowę zawracam giełdą, a pan po podróży zmęczony...

Borakowski stał skamieniały i koncentrował siły, żeby otrząsnąć się z tego skamienienia i, rezygnując już z przekleństw, huknąć w gębę Korabkowskiego swoją antypką, a kiedy już był bliski tego, zapukał do drzwi portier i na przyjazne „prosimy" Korabkowskiego wszedł. Borakowskiemu opadła ręka, pomyślał, że nie może robić skandalu przy służbie, a Korabkowski rzekł wesoło:

— Proszę śniadanie dla pana dziedzica. Pan dziedzic właśnie z podróży. No, cóż sąsiedzie, kawa? Tak? Jajeczko, szynka, chlebek czy bułeczki? No?...

— Bułeczki — mruknął Borakowski, który rzeczywiście poczuł głód.

— No, to już, raz, dwa, bo pan dziedzic głodny. Proszę mi się zawinąć.

Portier wyszedł, a Borakowski stał jak wszedł i czuł coraz większy głód i coraz bardziej baraniał. Nie mógł, robić skandalu, bo lada chwila wróci portier, a przytem jak można bić po gębie antypką po dziadku powstańcu człowieka, który ofiarowuje śniadanie. Chciało mu się przy tym spać, bo w istocie noc spędził w ciasnym wagonie i rzeczywiście te dwa uczucia: głodu i senności poczęły górować nad wszystkim innym i wpędzały go w doszczętne ogłupienie.

— Tak, tak — mówił tymczasem Korabkowski — podróże dzisiaj to rzecz bardzo uciążliwa, pewnie pan całą drogę stał? Czy tak? No, od razu zgadłem. Ale proszę, niech się pan rozgości. Ja tymczasem — zaczął wstawać z łóżka — będę się ubierał. Państwo pozwolą, prawda? — Nagle jak najbezczelniej odseparował się od nich. — Nie chciałbym przeszkadzać, pan zmęczony, pewnie się prześpi, a ja muszę wracać do domu, mnóstwo tam spraw na mnie czeka. Pan może się przez ten czas rózebrać i śniadanie zjeść w łóżku, Nie ma obawy, hotel ohydny, ale robactwa nie ma. O której pan wyjechał? 7.15. Tak, to ten sam, z przesiadką w Pliszkowie. Gdzież moje kalesony się podziały? O, o, dziękuję bardzo, niech się pan nie fatyguje...

I Korabkowski gadał tak i gadał i ubierał się, a tymczasem doszczętnie ogłupiony Borakowski zaczął ziewając rozbierać się, od tego zmęczenia, senności, gadaniny i wszystkiego razem zrobił się niezupełnie przytomny, zdawało mu się, że jest w domu i kładąc się spać, przyjmuje ekonoma, nawet nakładając koszulę, nota bene Korabkowskiego, ziewnął i powiedział:

— Dobrze, dobrze, tylko pilnujcie, żeby na folwarku nie kradli. Strasznie człowieka okradają w ogóle.

Wreszcie położył się do łóżka i nie czekając śniadania zasnął, mruknąwszy jeszcze: posuń się, Florka, co to łóżko się takie ciasne zrobiło. A tymczasem Korabkowski czmychnął i tyle go było widać. Dodam jeszcze, że po drodze na korytarzu zjadł śniadanie, które niósł portier i rachunek za całą tę hecę kazał posłać Borakowskiemu. Taki to był człowiek ten Korabkowski.

(z powieści „Jezioro Bodeńskie")

LITERATURA POLSKA W OBRAZACH CZYLI POPRAWKI DO M. RODZIEWICZÓWNEJ W ZWIĄZKU Z OSTATNIMI PROCESAMI PODZIEMIA



Rys. Henryk Tomaszewski

„Tato leśnych ludzi"

„Wesele"

(wolna przeróbka)

Osoby: CZEPIEC, PAN, DZIENNIKARZ.

CZEPIEC

Cóż tam, panie w polityce —
Nasi trzymają się mocno?

PAN

A mój miły gospodarzu
Dość mam cały dzień tych swarów...

CZEPIEC

A wybory?

PAN

Otóż właśnie, tych wyborów
Mam dość, po uszy dzień cały

CZEPIEC

Kiedy to ciekawe sprawy.

PAN

A to czytaj, kto ciekawy.
Wiecie choć, kogo wybierać?

CZEPIEC

Swój swojego musi wspierać...
Panowie to nijak nie wiedzą
Że chłop chłopskim rozumem trafi
Tam gdzie trzeba.
I my tu cytomy gazety
I syćko wiemy.

PAN

A poco?

CZEPIEC

A do świata się garniemy.

PAN

Ja myślę, że na waszej parafii
Świat dla was aż dosyć szeroki.

CZEPIEC

Dzisiaj inne już widoki
Nam sie patrzom... Bo ta wojna...

PAN

Ale tutaj wieś spokojna...
Niech na całym świecie wojna,
Byle polska wieś zaciszna,
Byle polska wieś spokojna...

CZEPIEC

Pon sie boją we wsi ruchu,
Pon nas obśmiewajo w duchu.
A jak my, to my sie rwiemy,
Ino do nowego świata!
Trza zapomnieć stare lata
Cas jest nowy — cas jest nowy!...

PAN

Cóż przychodzi wam do głowy...

CZEPIEC

Pon brat z miasta, pon z nas szydzi,
Wam ruch nowy sie nie widzi?

DZIENNIKARZ

Każden ogień swój zapala,
Każden swoją świętość święci

CZEPIEC

A bo wyście jak przeklęci,
Że wos mara, dziwo nęci,..
Wytwór jakiejś wyobraźni
Co wom ino rozum drażni.
Toć wom oczy zasły mgłami,
Żywicie się ino snami!

PAN

Z miasta człek inaczej widzi...

CZEPIEC

Tu ta ładniej — tam to brzydziej...
Z miastowymi to dziś krucho -
Na wsi, wejcie, nowa dusa,
Co się z fantazyją rusa.
Jak by przyszło co do czego —
Wisz pon to my tu gotowi...
My som mocni, my som zdrowi —
Chłopy, co roz w ręce wzięli —
Nie oddajom — by zginęli!

PAN

Jak się dziwnie wszystko plecie -

CZEPIEC

Cóż wy panie, tam bajecie —
Mnie ta wcale nie jest dziwno...

DZIENNIKARZ

I ja czuję — i ja słyszę —
Nowy spokój, nową ciszę —
Żyłem także w takiej cieśni —
Pośród murów szarej pleśni —
Wszystko było szare, stare —
A tu naraz wszystko młode —
Znalazłem żywą urodę —
Nagle widzę, nagle patrzę
W ten lud krasy, krzepki, zdrowy,
Choćby szorstki, choć surowy —
Wszystko dawne coraz bladsze.
Ja to czuję, ja to słyszę —
Wszystko kiedyś to napiszę...

CZEPIEC

A żyliście w takiej cieśni —
Pośród murów starej pleśni —

DZIENNIKARZ

Już inaczej dzisiaj patrzę — —
Wszystko dawne coraz bladsze...

CZEPIEC

Jo to cuje — jo to słyse...

DZIENNIKARZ

Wszystko kiedyś to napiszę...

CZEPIEC

Co tam pisać, lepiej czynić —
Trzeba naprzód iść z żywymi.

PAN

Gdybym nogą ruszyć mógł...

CZEPIEC

Miałeś, panie, złoty róg —
Miałeś, panie, czapke z piór —

DZIENNIKARZ

Czapkę wicher niesie —

CZEPIEC

Róg huka po lesie —
Ostał ci sie jeno sznur...

PAN

Ostał mi się jeno sznur.

(St. St: S. S.)



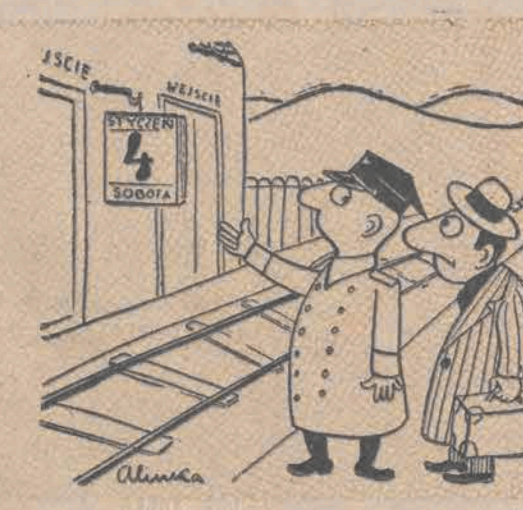
GRANICE PRZEMYSŁ DOBROBYT



— Już wiem, dlaczego jesteś taki smutny: napewno myślisz o innej kobiecie!



Roztargniony profesor głosuje na „3".



— Tutaj tak rzadko kursują pociągi, że wystarczy kalendarz zamiast zegara.

BAJKI

Z Leonarda da Vinci opracowała Zofia Pleszko

ORZECH I DZWONNICA

(bajka z morałem dla zwolenników ustępstw i łagodnego kursu wobec reakcji).

Zdarzyło się, że orzech, zaniesiony przez wronę na wysoką dzwonnicę, został przez szczelinę, w którą wpadł, ocalony od śmiertelnego dzioba; zaklinał wtedy mur na tę łaskę, której Bóg mu udzielił, że jest tak wzniosły, wielki, bogaty w dzwony piękne i tak czcigodnego wdzięku, — by zechciał go ratować; gdyż, jeśli już nie mógł spaść pod zielone gałęzie swego starego ojca i w tłustej ziemi okryć się spadającymi liśćmi, niech choć on go raczy nie opuszczać: bo znajdując się w dzikim dziobie dzikiej wrony, ślubował sobie, że jeśli mu ujdzie, chętnie zakończy życie w małej jamce. — Na te słowa mur wzruszony litością, musiał przyjąć go w miejsce, kędy upadł. I w krótkim czasie zaczął się otwierać i zapuszczać korzenie w szczeliny kamieni i rozszerzać je i strzelać gałęźmi z swej jamy; a gdy rychło przerosły budowlę i gdy zgrubiały skręcone korzenie, zaczął rozsadzać mury i wypychać starożytne głazy z ich dawnych siedzib. Wówczas mur zapóźno i daremnie opłakiwał przyczynę swej klęski i niedługo część jego spękana runęła.

ĆMA

(bajka pouczająca dla tych, których fałszywe polityczne blaski przywodzą do zguby).

Próżna i błędna ćma, niezadowolona, że może wygodnie latać w powietrzu podbita urokiem płomienia świecy, postanowiła wlecieć weń a wesoły jej ruch stał się przyczyną rychłego smutku. Gdyż w płomieniu wspomnianym strawiły się wątłe skrzydła i biedna ćma, padłszy popalona u stóp świecy, po długim płaczu i narzekaniu, otarła łzy i z wilgotnych oczu i wzniósłszy wzrok w górę, rzekła: — O światło fałszywe, iluż podobnie mnie, musiałoś złudzić nędznie w czasach minionych! Ach, jeśli jednak chciałam widzieć światło, czyż nie powinnam była odróżniać od fałszywego blasku brudnego łoju?

PIES I PCHŁA

(bajka poświęcona amatorom życia ułatwionego)

Gdy pies spał na skórze baraniej, jedna z pcheł jego, wyczuwszy woń tłustej wełny, uznała, że tam będzie miała życie lepsze i bezpieczniejsze od zębów i pazurów psa, niż wypasając psią skórę; i nie myśląc wiele, opuściła psa. A gdy dostała się w gęstą wełnę, zaczęła z największym mozołem przeciskać się do korzeni włosów, które to przedsięwzięcie po obfitym pocie, uznała za daremne, gdyż włosy były tak gęste, że stykały się prawie i nie było miejsca, gdzieby pchła mogła wessać się w skórę. Przeto po długiej męce i trudzie, zapragnęła wrócić do swego psa; lecz ten tymczasem odszedł, więc musiała po długim żalu i gorzkim płaczu, umrzeć z głodu.

STAL I KAMIEŃ

(bajka, której sentencja zawiera się w zakończeniu).

Kamień uderzony przez stal dziwił się bardzo i rzekł do niej surowym głosem:

— Jakim prawem śmiesz mnie dręczyć? Nie zadawaj mi bólu, boś tylko przez pomyłkę mnie wybrała sobie; nikt nie był mi nigdy krzyw.

Na to stal odrzekła:

— Jeśli będziesz cierpliwy, zobaczysz, jaki cudowny owoc zrodzi się z ciebie. —

Na te słowa kamień, uspokoiwszy się, wytrzymał cierpliwie udrękę i ujrzał, że rodzi się zeń cudowny ogień, który widokiem swoim działał na niezliczone przedmioty.

Powiedziano dla tych, których przeraża początek nauki i którzy potem, gdy się przysposobią do rozkazywania sobie samym i cierpliwie wytrwałej pracy poświęcą wykazują wyniki przedziwnie przekonywujące.

DROZDY I PUSZCZYK

(jak wyżej)

Drozdy cieszyły się wielce, widząc, że człowiek schwytał puszczyka i pozbawił go wolności, związawszy jego nogi silnymi pętami. Puszczyk ten przy pomocy lepu ptasiego, przyczynił się później do tego, że drozdy straciły nie tylko wolność, lecz i życie. — Opowieść dla tych, którzy cieszą się, widząc, że inne kraje tracą wolność, skutkiem czego potem pozbawieni ich pomocy dostają się w moc wroga, który pozbawia ich wolności, a często i życia.

TADEUSZ ŚMIELIŃSKI

Rachunek sumienia

Bywało w mym życiu — aż wstyd mi się przyznać—
Że ze mnie niebardzo wzorowy był syn,
Gdyż, biorąc to, co mi dawała Ojczyzna,
Na żaden wdzięczności-m nie zdobył się czyn.

Przeciwnie, choć miałem co włożyć do gęby
I własny ciepły, jak to mówią, kąt,
Dąsałem się nieraz i szczerzyłem zęby
(Co znaczy nawiasem — sarkałem na Rząd!)

A moja Ojczyzna, cierpliwe Matczysko,
Uśmiecha się do mnie pomimo mych wad
I szepce, że dla mnie — i zawsze i wszystko
I codzień swej troski zostawia mi ślad.

Porządne mam buty, bym nóg nie przemoczył,
Gorący posiłek raz dziennie lub dwa,
Na codzień wełniany garnitur roboczy,
Ubranko od święta też niezłe się ma

I wszelkich grup prasę czytuję po troszku,
Angielskie gazety, gdy bardzo już chcę,
„Tygodnik Powszechny" jawnie biorę w kiosku
I nikt nie notuje mnie za to w U. B.

Tym, których wyznanie moje bardzo zmartwi,
Żem sprzedać się musiał — spowiadam się w głos,
Że w żadnej nie jestem zapisany partii
I jakoś pcham życie, ściślej mówiąc, los.

Dlatego to właśnie, aż wstyd mi się przyznać,
Że ze mnie niebardzo wzorowy był syn,
Gdyż, biorąc to, co mi dawała Ojczyzna,
Na żaden wdzięczności-m nie zdobył się czyn.

Cóż mogę Ojczyźnie — smętnawy wesołek —
W nierównym rachunku cóż mogę jej dać?
Świadectwo dać prawdzie mogę z czystym czołem
Dla tych co jeszcze prawdy nie chcą znać!



Rys. Alinka

— Przepraszam, chciałbym się upewnić, kiedy się urodziłem: w roku 1805 czy w 1905?



Rys Zbigniew Kiulin

— Nareszcie mamy chwilkę czasu, pozwól więc, najdroższa, że ci się przedstawię...



Rys. Jan Lenica

— Pan na kogo głosuje?
— Jakto na kogo?
Na siebie!

DŻENTELMEN

Bernard Shaw, znakomity angielski autor sceniczny, ma wielu wrogów wśród arystokracji angielskiej. Pewnego razu podczas przyjęcia na zamku królewskim, podszedł do znakomitego pisarza lord Lonsdale i zapytał:

— Czy to prawda, mister Shaw, że pański ojciec był zwykłym krawcem?

— Tak, mylordzie.

— Więc czemu pan również nie został krawcem?

Bernard Shaw uśmiechnął się:

— A czy pański ojciec, mylordzie, był dżentelmenem?

— A jakże!

— Więc czemu nie został pan również dżentelmenem.

PORADZIŁ SOBIE

Edward VII, już jako książę Walii bywał w tarapatach pieniężnych, z czym trudno było walczyć. Razu pewnego poprosił matkę, królowę Wiktorię, bawiącą właśnie w letniej rezydencji, o pożyczkę 10 funtów szterlingów.

Królowa zgorszona postępkiem syna, napisała doń długi list moralizatorski, zalecając księciu Walii skromność i oszczędność, które jako przyszłemu królowi Anglii, mogą się przydać w ocenianiu wartości pieniądza. Po paru dniach książę odpisał:

„Droga Mateczko! Stokrotnie dziękuję za twój cenny dla mnie list, który ze względu na niezwykłą treść, udało mi się sprzedać zbieraczowi autografów królewskich za 20 funtów szterlingów!"

DOBROCZYNNA WENTA

George Sand kwestowała na polskich emigrantów. Obok jej stolika przechodził w czasie wenty baron Rotsszyld, którego pani Sand zaczepiła z czarującym uśmiechem:

— Pan baron zechce coś kupić!

— Chyba pani autograf! odparł Rotszyld.

— Zgoda — zawołała pani Sand, po czym na ćwiartce papieru napisała te słowa:

„Niniejszym zaświadczam, że od barona Rotszylda otrzymałam na rzecz biednych emigrantów 5.000 franków. G. Sand".

Baron uśmiechnął się kwaśno, ale wziął autograf i zapłacił.

TESTAMENT

Niezwykle płodny powieściopisarz amerykański Howe wstąpił pewnego razu do sklepu, by kupić sobie kilka piór do pisania. Właściciel starał się nakłonić pisarza do kupna wiecznego pióra.

— Niechże pan się zastanowi — tłumaczył mu — ileż czasu traci pan na maczanie pióra w atramencie!

— Ależ panie — odrzekł pisarz— te chwile, które zużywam na maczanie, to mój jedyny odpoczynek. Inaczej zapisałbym się na śmierć.

NAUKA MORALNĄ

Cesarz austriacki, Franciszek Józef, zwiedzał więzienie.

— Za co skazano tego człowieka? — spytał naczelnika więzienia, wskazując na starego człowieka.

— Za kradzież bochenka chleba.

— Hm, a dlaczego ukradliście ten chleb? — zwrócił się monarcha z zapytaniem do więźnia.

— Bo byłem głodny, najjaśniejszy panie!

— Głodni byliście? No, no. Jak się jest głodnym, to się nie kradnie, tylko się siada do stołu i je!...

W pismach amerykańskich pojawiło się następujące ogłoszenie:

„Śmierć puka do waszych drzwi. A dla czego puka?

Bo nie macie jeszcze patentowanego dzwonka firmy Trix-Trix!"

* * *

— Co? Ty jarosz jesz kotlet cielęcy?

— Dla mnie to nie jest mięso.

— A co?

— Owoc zakazany.

* * *

— Do tramwaju mam z domu 5 minut drogi, od tramwaju do biura 10 minut. Ile mam wobec tego lat?

— Czterdzieści cztery.

— Jak to wyrachowałeś?

Mam kolegę pół idiotę. Ma lat dwadzieścia dwa.

* * *

Pan Piwko zwiedza Ogród Zoologiczny i zatrzymuje się przed klatką nieznanych mu zwierząt.

— Tu proszę państwa — objaśnia dozorca — znajduje się śmiejąca hiena. Jest to niezwykle ciekawy okaz. Je raz na tydzień, a pije raz na trzy tygodnie...

Pan Piwko dziwi się:

— To z czego ta idiotka śmieje się?

* * *

— Co pan wycina z gazety?

— Artykuł o mężu, który zamordował żonę, bo mu przeszukiwała kieszenie.

— Na co to panu potrzebne?

— Włożę do kieszeni marynarki.

* * *

Oboje są w ogrodzie. On wiesza dla niej hamak.

— Mój drogi — pyta ona — a czy ta gałąź się nie złamie?

— Ależ, kochanie, mniejsze o gałąź, byleś ty miała przyjemność.



— Nie masz pojęcia, jaki ten Brudziński jest sympatyczny, jaki wytworny, jaki inteligentny... Doprawdy szkoda, że go nie znam!

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Ludwik Suchestow (Kraków). Nadesłał pan sześć „limeryków", zaznaczając, że „ten ostatni niekoniecznie do druku". Według naszego zdania poprzednie pięć też.

Zbigniew Gniewski (Bytom). Cykl wierszyków pańskich p.t. „Czego chciałyby niektóre instytucje w Nowym Roku?" świadczy, że się Pan w pragnieniach tychże instytucji dobrze orientuje. Oto np. czego sobie Pan życzy w imieniu Ubezpieczalni Społecznych:

„Ubezpieczonych coby nigdy nie chorowali,
płacili składki po śmierci, zasiłków nie brali,
ich uprawnienia by natychmiast gasły,
a pogrzeby by były także na koszt własny".

Maria Kaliszewska (Inowrocław). Pisze Pani łaskawie: „możecie wydrukować moją humoreskę za odpowiednim honorarium". Niestety, nie możemy, ponieważ humoreska jest nie odpowiednia.

Zygmunt Grabiński (Piaseczno k Warszawy). Nie. Rysunki nie dobre. Ani pomysł ani wykonanie.

Tadeusz Nowak (Warszawa). Dowcipy, owszem, niezłe ale wiek ich pozostawia wiele do życzenia. Obawiamy się mianowicie, że są znane naszym czytelnikom z okresu dzieciństwa.

Julia Bokowa (Szczecin). Postaramy się, aby brakujące egzemplarze „Rózeg" zostały Pani nadesłane. Za życzenia pomyślności itd. — bardzo dziękujemy.

Jadwiga Biernacka (Warszawa). Jako miłośniczka fraszek Jana Czarnego zapytuje nas Pani, czy „Czarny" to prawdziwe nazwisko autora. Nie, proszę Pani, to tylko jego „maść".

Gustaw Kański (Poznań). **Eustachy Kacprzak** (Toruń), **Rysia S.** (Warszawa), **M.K.** (Kutno), **J .Barlak** (Łowicz), **Edward Lerski** (Skierniewice), **Jerzy Michałowski** (Opoczno), **Ksawery Duracz** (Tomaszów Maz). **Pe-Panc** (Modlin), **Helena Glińska** (Katowice) — dziękujemy serdecznie za nadesłane życzenia świąteczne i noworoczne.



— Zawsze - ep - wierzyłem - ep - że pan wysoko zajdzie, panie Mikołajczyk!

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 662210 G